

Tomasz Łubieński

Pod Filadelfią

Jej palce, moje ręce w sierści psa wieczorem
jak mogły minąć się, niezrozumiale,
jeden puls za daleko, paznokieć za póno
i od razu cofają się w przeciwne strony,
do wschodu słońca i ku zachodowi,
byle najdalej, póki bezpowrotnie,
łamią się między nimi tępe płaskowzgórza,
kwitną leśne zasieki, mury zagraniczne,
upływają kaskady, huśta się ocean,
bo na tamten półuśmiech, niby zapytanie,
inne każdemu życie, inna śmierć,
roztraściły skrzydłami, zamiast odpowiedzi,
jej palce, moje ręce, w sierści psa, wieczorem.

Z Tatr

Odchylił się do nowego ciosu
I już ściana uciekała do góry
Więc siekł ją odpryskiem liny
Ciagnął za trawy
Walił wyrwanymi kamieniami
Aż rozprysnął się na dole, jak kropla wody.
Cisza. Nic się nie stało.